

Polecam książkę Iana Burumy: „Śmierć w Amsterdamie. Zabójstwo Theo van Gogha i granice tolerancji” – Murder in Amsterdam: The Death of Theo Van Gogh and the Limits of Tolerance (2006), nie tylko jako źródło informacji o problemach z islamistami w Holandii, ale także jako arcyciekawą współczesną panoramę historycznych i społecznych partii i postaw w tym wspaniałym kraju, będącym wzorem dla wszystkich prawdziwych liberałów. Ian Buruma (ur. 1951), syn Holendra i Angielki, urodzony w Hadze, jeden z najbardziej cenionych intelektualistów europejskich, jest sinologiem i japonistą, a pod względem światopoglądowym liberałem, za co cenię go szczególnie, choć wydaje mi się on nieco zbyt miękki wobec problemu multikulturalizmu (rozumianego jako styl polityki). Dał się np. nabrać dziwaczemu fundamentaliści udającego oświeconego muzułmanina Tariqowi Ramadanowi (projekt euro islam), mimo, iż jak zauważył choćby Walter Laqueur, Ramadan uzyskał zakaz wystawiania sztuki Voltaire’a „Mahomet czyli fanatyzm” w Genewie, mało to oświeceniowe... Zgadzam się z nim jednak, w tym, że liberalne społeczeństwa zachodnie mają dużą zdolność absorbowania nawet nieliberalnych praktyk kulturowych. Podobnie zresztą myślał jeden z hiszpańskich naukowców, który stroskanym katolom (w tym Terlikowskiemu) wieszczzył klęskę islamu w starciu z hiszpańskim materialistycznym społeczeństwem (zon. „Bitwa o Madryt”). Wracając jednak do książki Burumy. Zabójca Theo van Gogha, Mohammed Bouyeri, sfrustrowany młodzian holenderski pochodzenia marokańskiego, zamierzał zabić także somalijską apostatkę Ayaan Hirsi Ali, burmistrza Amsterdamu Joba Cohena (człowieka świeckiego starającego się dogadać z muzułmanami), oraz polityka Geerta Wildersa (Bouyeri błędnie uważał go za geja), potem zaś chciał dać się zabić policji jako męczennik. Jednak postrzelono go i aresztowano (s. 11). Co ciekawe ofiary wcale nie należały do jakiegoś jednego paktu, wbrew rojeniom Bouyeriego. Choćby Cohen uważany był za van Gogha za kolaboranta zdradzającego ideały holenderskie i europejskie, by przypodobać się muzułmanom. Morderca nawoływał także do zniszczenia takich ludzi jak inny polityk żydowskiego pochodzenia Jozua van

Aartsen, lider prawicowej partii VVD, przekonany o walce dwóch cywilizacji; zachodniej i islamskiej. Van Aartesen uważa generalnie, że muzułmanie chcą zniszczyć holenderskie społeczeństwo (prezentował tę opinią na łamach „NRC Handelsblad”).

Nie jest to bynajmniej pogląd odosobniony. Podobnie uważał inny polityk VVD, minister finansów Gerrit Zalm, przyjaciel van Gogha, a także Matt Herben, lider założonej przez Pima Fortuyna populistycznej LPF, który mówił o zastraszaniu rodowitych Holendrów przez islamistów – swoistą V kolumnę w ramach społeczeństwa (s. 12). Kiedy zginął van Gogh, zniszczono kilka meczetów i kościołów, lecz opowieści eksponowane w TV o płonącym kraju były przesadzone. Szkołę muzułmańską w Uden chciało podpalić – jak się okazało kilku nastolatków spragnionych przygód, a nie jakiś gang „krzyżowców”. Symbolem klęski multikulturalizmu w Holandii było niepodanie ręki minister ds. integracji Ricie Verdonk przez ortodoksyjnego imama. Verdonk zaskoczona wybełkotała wtedy: „przecież wszyscy jesteśmy równi”. Religia nie lubi równości... Van Gogh był barwną postacią holenderskiej elity, elity kraju, określanego często jako „flegmatyczny” (przed tą flegmatycznością Buruma uciekł w 1975 roku do UK). Van Gogh, lub po prostu „Theo”, nie cackał się muzułmanami, przezywając ich „kozjebcami”, dlatego jego zabójstwo w listopadzie 2004 roku wywołało niezwykle dla zadowolonego (satisfait) społeczeństwa holenderskiego – Buruma cytuje Heinego, który kpił, że w dniu końca świata pojedzie do Holandii, gdzie wszystko dociera 50 lat później (s. 17). Co zrobił van Gogh, wszyscy wiedzą, razem z Ayaan Hirsi Ali, nakręcił film „Posłuszeństwo” w którym przedstawił praktykę przymusowego obrzezania kobiet w społeczeństwach islamskich oraz prześladowania ich w inny sposób. Przedstawia w nim historię trzech kobiet, z których jedna jest skazana na chłostę za romans, kolejna maltretowana jest przez męża poślubionego z woli rodziny a trzecia ma być ukarana za urodzenie nieślubnego dziecka, którego ojcem jest jej krewny – gwałcący ją brat ojca. Po ukazaniu się filmu zarówno van Gogh, jak i Ayaan

Hirsi Ali, spotkali się z groźbami śmierci, prawdopodobnie ze strony fundamentalistów muzułmańskich. Reżyser zbagatelizował je. Warto wiedzieć też, że był on także autorem książek takich jak: *Sla ik mijn vrouw wel hard genoeg?* (1996) – „Czy biję moją żonę wystarczająco mocno” i *Allah weet het beter* (2003) – „Allah wie najlepiej”. Buruma gani serię wzajemnych oskarżeń po śmierci Theo. Jego współpracowników zaczęto nazywać handlarzami strachu, Hirsi Ali zarzucano antagonizowanie muzułmanów, a Cohenowi brak współpracy z antyterrorystami. Buruma te oskarżenia wywodzi z holenderskiej cechy narodowej – stanu *verongelijktheid*, poczucia, że zostaliśmy skrzywdzeni, gdy coś pójdzie nie tak i zachwieje holenderską wiarę w wyższość ich indywidualistycznego, tolerancyjnego sposobu widzenia świata, jak to widać, kiedy przyciężcy Niemcy, uparci Włosi czy krnąbrni Anglicy pokonają fantazyjnie grającą drużynę futbolową Holandii (s. 21). Problemy z islamem są czasem odbierane jako koniec pewnego fajnego świata swingującego liberalnego, wolnomyślicielsko-anarchizującego. obdarzonego kabaretowym poczuciem humoru Amsterdamu, co pcha np. pisarzy takich jak Max Pam czy Harry Mulisch do snucia planów wyjazdowych. Buruma trochę sobie z nich pokpiwa, choć przynajmniej moim zdaniem ich plany wyjazdowe są lepiej uzasadnione niż jego plany z 1975 roku, przecież to fakt, że tęsknimy my liberałowie za epoką Monty Pythona (nieco idealizowanej co prawda, w końcu Dave Allen musiał wynieść się z kołtuńskiej Irlandii) , który ledwo już dostrzegamy za parawanem poprawności politycznej, islamu i kracjonizmu... Holandia tradycyjnie była tolerancyjną na tle innych państw, mekką Żydów uciekających przed iberyjskimi inkwizytorami (Amsterdam zwali oni „Mokum” – czyli po prostu „miasto”), hugenotów, filozofów i innych prześladowanych. Potem Żydów wymordowali naziści (dopiero w latach 60. zaczęto o tym otwarcie mówić), ale przyjechali gastarbeiterzy, a od 1972 roku Surinamczycy. Wielu z nich nawet dziś jest bezrobotnych, ale większość radzi sobie dobrze, tak samo jak dobrze mówi po holendersku i dryfuje w stronę klasy średniej. Nie najgorzej radzą sobie też Turcy (ci którzy nie tworzą gangów), często

będących zdolnymi sklepikarzami i restauratorami. Natomiast problem największy mają władze z przybyszami z Maroka (gł. Berberowie), często nieokrzesanymi wieśniakami mieszkającymi w „miastach talerzy”, tj. rzędach domów, którym łączność satelitarna zapewnia stały dostęp do ich dawnej kultury (s. 26). W 1992 roku izraelski samolot rozbił się w biednej dzielnicy Amsterdamu, której domy były tak przepełnione, że nie sposób było doliczyć się trupów nielegalnych imigrantów. Niektórzy z tych imigrantów bezpardonowo atakują opresyjną kulturę z której się wywodzą. Czyni tak nie tylko Hirsi Ali, ale i np. Irańczyk Afshin Ellian, krytyk reżymu szacha, który stał się potem krytykiem multikulturalnej lewicy. Dla Elliana sprawa jest prosta z jednej strony stoją zdobywcze oświecenia, z drugiej atakujący je islam i lewicowi nihilisci, zaślepieni antyamerykanizmem. Ellian żałuje że islam nie miał swego Voltaire’a Nietzschego i uważa siebie, Hirsi Ali i Rushdiego za osoby mogące nimi być. Holendrów w ich masie postrzega jako mięczaków, kolaborujących z islamem jak ongiś z III Rzeszą (s. 31). Zżyma się Ellian gdy nazywają go oświeceniowym fundamentalistą, i słusznie wszak to oksymoron. Przed 11 września 2001 roku jego głos był dość odosobniony, potem jednak coraz częściej mówiono o starciu oświecenia z islamem. Konserwatyści tacy jak Frits Bolkestein bronić zaczęli zachodnich wartości Spinozy i Voltaire’a. Bolkestein już wcześniej krytykował za mały odsiew przybywających do kraju imigrantów, i pomysł by przyjąć Turcję do UE. Prawica zaczęła (z braku dostatecznej siły chrześcijaństwa) bronić oświecenia, jako wartości jednocześnie uniwersalnych i „naszych” – europejskich, podczas gdy lewica zwykle poparła islam w imię multikulturalizmu, w ten sposób nowoczesna holenderska scena polityczna spycha religiantyzm na lewo. Grupki lewicowców, rozczarowanych multikulturalizmem dołączyły do prawicy (s. 35). Niestety osądzając konflikt z imperialnych salonów UK, Buruma sili się na obiektywizm za wszelką cenę pisząc, że religia sama w sobie nie jest prawdziwym przeciwnikiem oświecenia. Choć dostrzega, że rewolty lat 60. Zawierały w sobie pewne aspekty irracjonalne, pisze że tolerancja często

oznaczała zwykłą obojętność (zapomina, że obojętność to inna nazwa tolerancji „negatywnej”, tj. nie idealistycznej lecz praktycznej – „barokowej”, moim zdaniem obojętność na kolor skóry na przykład jest społeczną zaletą). Olivier Roy, francuski uczyony cytowany przez Burumę, uważa ten podział sceny politycznej przyszłości między konserwatystów i liberałów z jednej strony, a multikulturalistów i islamistów z drugiej za trwały, ponieważ islam będzie wkrótce najważniejszą europejską religią. Holandia jest poligonem doświadczalnym tych przemian, jednocześnie jest to kraj, który wpisał tolerancję i inne ideały oświecenia na listę cnót narodowych (s. 40). Bardzo ciekawie pisze Buruma o regentach, czyli patrycjuszach, którzy dominowali w życiu politycznym i społecznym Holandii i Zelandii XVII i XVIII wieku. Jako historyk czuję się tu zobligowany przypomnieć kim oni byli. Mieszkańcy Republiki Zjednoczonych Prowincji epoki wczesnonowożytnej uważali się za ludzi wolnych mieszkających w wolnym państwie, jednak władza w nich była faktycznie zmonopolizowana przed tzw. „regentów” – regenten. Byli to członkowie potężnych wzbogaconych na handlu, bądź produkcji (traffieken – manufaktury) rodów. Regenci zmonopolizowali już w XVII wieku władzę w organach poszczególnych miast, jako burmistrzowie, ławnicy, syndycy itd. Tak pisał o nich w 1740 roku pewien Anglik od dawna zamieszkały w Republice: „...Rządy mają arystokratyczne, przeto nie należy rozumieć owej tak bardzo zachwalanej wolności Niderlandczyków w znaczeniu powszechnym i absolutnym, lecz cum grano salis. Burmistrzowie i senat stanowią władzę; jeśli wskutek czyjejś śmierci otworzy się wakans, burmistrz poczytałby sobie za wielką obrazę, gdyby jakiś rozdrażniony mieszczanin ośmielił się szemrać przeciwko osadzeniu na tym stanowisku jednego z synów lub krewniaków onegoż burmistrza ...”. Nie we wszystkich prowincjach górne piętro drabiny społecznej zajmowali regenten, w prowincjach pozbawionych dostępu do morza o zdecydowanie rolniczej gospodarce ich rolę grała typowa ziemiańska szlachta, podobna do niemieckiej. Ponieważ jednak kupieckie prowincje „morskie” Holandia i Zelandia zapewniały ponad 50% dochodów budżetu

Republiki (sama Holandia – nieco ponad 40 %), badacze często pozostawiają na marginesie swoich zainteresowań, jak to ujął brytyjski historyk C.R. Boxer, owych dziedziców z Geldrii, dzierżawców z Overijssel i ziemiańską szlachtę Fryzji. Sama prowincja Holandia tak dalece dominowała, że nazwy Holandia już wówczas używano wymiennie ze słowem Niderlandy, zresztą i ta nazwa jest niepoprawna, gdyż obejmuje także południowe Niderlandy Hiszpańskie (od 1713 roku – Austriackie), czyli Belgię, a także np. niepodległą diecezję Liège, a nie tylko 7 prowincji północnych. Regenci byli przeciwko wzmocnieniu władzy centralnej, gdyż taka mogłaby stanowić zagrożenie dla ich wpływów. Dlatego starali się nie dopuścić do wzrostu wpływów książąt domu orańskiego. Faktycznymi przywódcami regentów, jako warstwy społecznej byli wielcy pensjonariusze (rodzaj głównych radców) prowincji Holandii i Zelandii (tzn. najsilniejszych ekonomicznie prowincji, w których w dodatku regenci stanowili elitę) – Raadpensionaris van Holland/Zeeland. W czasach gdy nie było stadhoudera (1650-1672 i 1702-1747), lub gdy ich pozycja była słaba (nie byli namiestnikami wszystkich prowincji, lub nie mieli charyzmy) pensjonariusze byli głównymi decydentami politycznymi Republiki. Do Orańczyków odwoływano się w sytuacjach zagrożenia. Wówczas niechętni im regenci godzili się (pod naciskiem biedoty i duchownych) uznać ich namiestnictwo, co wiązało się z uznaniem ich naczelnymi dowódcami sił zbrojnych Republiki. Za Orańczykami murem stała biedota miast i chłopi, liczący na ich ochronę przez zdzierstwem regentów i duchowni kalwińscy uważający regentów za zbyt liberalnych. Historia Republiki to w dużej mierze dzieje zmagania regentów (w tym pensjonariuszy) z namiestnikami z dynastii Orańskiej. Regenci faktycznie monopolizowali władzę w swych rękach. Mieszczanin tych dwóch prowincji, jeśli nie należał do warstwy regentów, musiał być tzw. „pospolitym człowiekiem” – gemeene man lub kleine man, z niewielkimi szansami by zostać „wielkim”, gdyż regenci byli grupą bardzo hermetyczną, ich rody zawierały ze sobą umowy: contracten van correspondentie, w których zapewniali sobie wzajem pomoc w obsadzie lukratywnych

stanowisk przez członków swojej rodziny . Naczelnym hasłem regentów było: *kleine man moet klein blijven* – „mały człowiek powinien pozostać mały”, byli zwolennikami tolerancji religijnej, jednak ten liberalizm brał się głównie z tego, iż duchowni kalwińscy (*praedikanten*) wywodzący się zwykle z biedoty miejskiej (*grauw*), której regenci się bali i którą uważali za dzicz, zwalczali regentów, drażnił ich bowiem brak silnej władzy monarszej, która mogłaby prowadzić surowszą politykę wyznaniową. Regenci nigdy nie cieszyli się sympatią tłumów, wręcz przeciwnie uważano ich powszechni za chciwców. Amsterdamscy regenci dysponowali około 3200 urzędami, z których większość obsadzana była przez czterech burmistrzów . Nie patrzono na zdolności lecz na koneksje. W Geldrii, stany rządzące tą prowincją postanowiły w 1717 roku urzędy miejskie uczynić dożywotnimi, ustawę tą przeprowadzono mimo silnego oporu drobnomieszczan i plebsu. Po raz pierwszy (od 1702 roku) zabrzmiał wówczas krzyk o powrót silnej władzy *stadhoudera*, który wzięłby regentów w karby. Buruma uważa, że względnie niewielki polityczny świat dzisiejszej Holandii jest zdominowany przez kolejne wcielenie regentów. Często bezideowi ludzie establishmentu dzisiejszej Holandii, są przez prostych ludzi, równie nielubiani jak dawni regenci. Stąd brała się popularność Pima Fortuyna, ekscentrycznego geja i (pseudo)katolika, który na tle „kalwińskich”, czytaj moralizatorskich, a jednocześnie dość pustych (neo)regentów malował się jako ciekawa alternatywa, stąd prości Holendrzy kochali go niczym Brytyjczycy księżną Dianę, a regenci nienawidzili, ponieważ z nich szydził i o niebo lepiej wypadał podczas telewizyjnych debat (s. 41-47). Ekscentryczność Fortuyna wydawała się eks-kalwińskim Holendrom czymś niemal boskim, stąd na przykład na jego pogrzebie (Fortuyna zastrzelił obrońca praw zwierząt futerkowych), pewna stateczna matrona krzyknęła do szefa socjaldemokratów Ada Melkerta: „no to masz, czego chciałeś łajdaku” (s. 48). Fortuyn atakował imigrantów, chwalał się jednocześnie tym, że uprawia seks z marokańskimi chłopakami. Wykorzystywał strach wielu Holendrów przed islamem, i wydawał się podzielać ich obawy, stąd lewica

miała go niemal za nowego Hitlera, i porównywała do Haidera i Le Pena, czego on sam nie akceptował. Sam za np. rasistę bardzo nie chciał być brany (przerwał wywiad z Johnem Simpsonem z BBC, gdy ten zasugerował iż proponowana przez Fortuyna idea zamknięcia granic dla imigrantów można uznać za rasistowski). Gdy w latach 60. Skończył się podział społeczeństwa holenderskiego na tzw. filary (zuilen); protestancki, katolicki i humanistyczny (liberalno-socjalistyczny) z własnymi szkołami sklepami itd., powstawały liczne dziwne „fioletowe koalicje”, między partiami prawicowymi i lewicowymi. Buruma uważa Fortuyna, za te, który obiecywał ludziom powrót do bardziej przejrzystych pod względem politycznym czasów, i to w momencie kiedy zajęci sobą regenci zaczęli tracić kontakt ze społeczeństwem, a Żydzi czynili porównania między islamofobią i antysemityzmem potępiając oba zjawiska (s. 53-56). Podobnie jak Theo, który zarzucał Żydom żerowanie na holenderskim poczuciu winy, Fortuyn zdjął z krytyków islamu odium rasizmu (zarówno prawicowy wolnorynkowiec Bolkestein jak i lewicowy socjolog Paul Scheffer ostrzegali przed multikulturalizmem ściągając na siebie etykietkę rasistów), czyniąc krytykę islamu czymś może nie powszechnie akceptowanym, ale naturalnym (s. 57). Fortuyn przywrócił ludziom tęsknotę za dyscypliną i klasowością, twierdząc że ta pierwsza jest sexy, i pozując na arystokratę (gdy np. ówczesny szef konserwatystów Hans Dijkstal nie miał w sobie nic błękitnego). Fortuyn pochodził z rodziny katolickiej, i od małego nosił garnitur. Swoimi ekscentryczno-arystokratycznymi manierami Fortuyn przyczynił się do pewnej odnowy konserwatywnego sposobu myślenia, w nico inny sposób niż wielbiciel Burke'a i C.S. Lewisa kalwinista Bart-Jan Spruyt (s. 67), którego po zabójstwie Fortuyna biznesmeni prosili ponoć o wyrzucenie z kraju Marokańczyków, w zamian za szczerą donację. Fortuyn uważał Europę za establishmentowi abstrakcję bez duszy, a Holandię za jedyny prawdziwy punkt odniesienia (s. 71). Fortuyn jednocześnie bronił holenderskości i starał się według własnych wyobrażeń zapobiec potrzebie ponownej walki o sekularyzację. Theo był człowiekiem



lewicy, zupełnie innym niż „boski łysol” Pim, choć byli przyjaciółmi. Haska rodzina z której pochodził Theo wyróżniła się w ruchu oporu i udzielała w wolteriańskim Stowarzyszeniu Humanistów założonym w 1947 roku. Dziadek Theo dbał o to, by niewierzący żołnierze mieli doradców humanistycznych będących odpowiednikami księży i pastorów (s. 78). Podobnie jak wielu radykałów młodzieżowych lat 60. Krzyczących na liberalnego arystokratę Clausa von Amsberga – „Clausewitz” (s. 86), Theo nie podziwiał przeszłości Holandii, ani nawet własnej bohaterskiej rodziny, a także Żydów nieustannie mówiących o swych nieszczęściach (do 1973 roku, jak pisze Buruma, wszyscy słuchali ich chętnie a Izrael był powszechnie podziwiany, jakiś to kontrast z dzisiejszą sytuacją, gdy właściwie jedyny Wilders jest gorącym zwolennikiem tego kraju, jako przedmurza Zachodu). Theo atakował ostro takie osoby jak np. Evelien Gans (pisał, że zapewne śni o tym, że „rżnie ją doktor Mengele”), zarzucał Żydom żerowanie na współczuciu, a Jezusa nazywał „tą zgniłą rybą z Nazaretu”, Cohena nazywał kolaborantem, a muzułmanów, jak wiemy, „koczujkami” (s. 94-95), był wyczulony na wszystkie patetyczne przejawy poczucia wyjątkowości oparte czy to na krwi, patriotyzmie, czy religii. Theo nawiązywał do starej kalwińskiej tradycji zamierzonej grubiańskości, jaką dawni protestanci mieszkańcy Holandii przeciwstawiali gładkim, a pełnym hipokryzji manierom katolików, stąd Theo mógł w Holandii mówić ostrzej, niż znoszono by to w innych krajach (s. 97). W XX wieku pisarze i dziennikarze wywalczyli sobie dość znaczną swobodę pisarską, dzięki m.in. wygraniu procesowi Gerarda van het Revego (1966), który w jednej powieści napisał, że „Bóg to osioł, a on by chętnie się z osłem bzykał”. Proces wygrał, ponieważ obronił stanowisko, iż zdanie wygłoszone przez fikcyjnego bohatera powinno być wolne od prosu o bluźnierstwo. Sąd zresztą uznał, że nie było ono „pogardliwe”, a więc nie ma sprawy (s. 101). Starając się poznać poglądy drugiej strony Buruma rozmawiał z muzułmanami holenderskimi, mającymi dość rozmaite poglądy na sprawy religii, Holandii i morderstwa Theo. Chłopak nazwiskiem Farhane, który miał wiele problemów w szkole (w Maroku rodzice

pilnują ostro dzieciaki, a w Holandii chodzą one często samopas, wagarują itd.) najpierw mówił, że morderca Theo nie powinien był zabić w czasie ramadanu, ale ruszony sumieniem, potępił go także pod względem humanitarnym. Marokańczyk Bellari Said, psychiatra i działacz polityczny, wyznawca różnych amerykańsko-antysemickich teorii spiskowych, uważa, że można wykorzystać islam do zintegrowania muzułmanów ze społeczeństwem holenderskim, bowiem holenderscy muzułmanie są zwykle rozbici między dwoma światami, i chorują bardzo często na dosłowną schizofrenię (s. 122), młodzi Marokańczycy cierpią na tę chorobę 10 razy częściej niż rodowici Holendrzy. Bellari uważa, że swoboda zachodniego społeczeństwa uderza do głowy marokańskim wieśniakom, z których wielu zwraca się do religii jako przewodniczce w chaosie możliwości. Bellari jako człowiek wysokiej kultury, obawia się ekstremizmu religijnego, ale krytykuje też Hirsi Ali, jako kierującą się ponoć zbyt emocjami („wywalczyła sobie wolność i teraz reaguje atakiem szału na wszystko, co przypomina jej o dawnych ograniczeniach”). Szansę na integrację Bellari widzi w tym, że młodzi muzułmanie holenderscy boją się swych hardych koleżanek i wybierają sobie potulne wieśniaczki z Maroka za żony, to zdaniem Bellariego spowoduje iż coraz więcej muzułmanek urodzonych w Holandii będzie wychodzić za rodowitych Holendrów i innych nie-muzułmanów (s. 124). Do lewicowców „antyislamskich”, z którymi Buruma przeprowadza wywiad należy Jolande Withuis, która w swym spojrzeniu na rzeczywistość kładzie nacisk na otwartość reguł gry. Na tej podstawie broniła liberalnego lekarza, który zwolnił pielęgniarkę odmawiającą zdejmowania chusty islamskiej podczas pracy. Withuis uważała, że w pracy chodzi o zaufanie, a chusta symbolizuje raczej zamknięcie się w obrębie własnej kultury i własnych partykularnych zasad. Buruma przy okazji prezentuje własny pogląd; według niego chusta nie szkodziła, gdyż nie uniemożliwiała kobiecie wykonywania pracy (s. 126), możemy więc przypuszczać, że francuskie zakazy hidżabów, jako utrudniających identyfikację też doń by nie przemówiły. Nie na darmo świat anglosaski piętnuje francuskie zakazy, choć to

właśnie one, a nie anglosaski multikulturalizm realizują liberalną ideę podziału na sferę prywatną i społeczną. Inny były działacz lewicy Paul Scheffer opowiada w następnym wywiadzie, jak czekał w kolejce na lotnisku w Stambule, i widział przed sobą kolejkę 10 obywateli holenderskich, z których żaden nie znał języka niderlandzkiego, wtedy poparł prawicę – sceptyczna wobec imigracji. Z obu rozmów Buruma wyniósł przekonanie, że integrację utrudnia wymknięcie się dzieci spod kontroli rodziców (s. 128-129). Moim zdaniem to wymknięcie skutkujące często bandyckimi wybrykami, można by właśnie obrócić na korzyść integracji. W końcu te dzieciaki i tak znajdują się między dwiema sprzecznymi kulturami. Buruma rozmawia też z muzułmankami; z dwudziestoparoletnią Chafiną Ben Dahman, która sama chusty nie nosi, za co niektórzy muzułmanie traktują ją jak dziwkę, ale mimo to uważa, że wynika to z prymitywizmu marokańskich wieśniaków; nie z nakazów islamu, lecz wieśniaczego islamu (s. 131). Chafina opowiada jak jej ojciec jest jedynie fasadowym muzułmaninem, a matka fanatyczką, i że całe jej rodzeństwo zbuntowało się przeciw nim (Chafina dopiero na kursie hotelarstwa zetknęła się z nie-muzułmanami i zachwycił ją brak licznych tabu w rozmowach, a zachodniego sposobu bycia uczyła się z TV), Ciekawie też opowiada o tym, że kiedyś bała się zajścia w ciężę od pocałunku i o tzw. 'kozicach' – potulnych kobietach z Maghrebu sprowadzanych na żony dla holenderskich Marokańczyków, bojących się bardziej bojowych koleżanek. Chafina ma jak najgorsze zdanie o marokańskich mężczyznach, jako niesłownych, fałszywych i nierzetelnych (s. 135). Inna muzułmanka – studentka prawa na uniwerku w Nijmegen, Nora Choua, nosi czador, ale odwiedza dwóch swoich braci, którzy ożenili się z rodowitymi Holenderkami (rodzice Nory unikają kontaktów z synowymi). Nora opowiada, że jej rodzice nie rozumieli co to jest prawo, i że można je studiować. Jest przeciwko absolutnej swobodzie wypowiedzi, i uważa, że miłośnicy Theo van Gogha nie byłiby niemi, gdyby jego krytyka dotyczyła ich osobiście, uważa więc, że wolność słowa jest „nadużywana” (typowe religianckie myślenie). Jednocześnie

zaskoczyło ją to, że po 11 września, Holendrzy zaczęli traktować ją jak muzułmankę, a nie jak Norę jak wcześniej; ta zmiana stosunku chrześcijańsko-ateistycznej większości dotknęła jednak głównie niewykształconych muzułmanów, którym nad głową wyrastać zaczął czasem szklany sufit braku zaufania. Nie rozumie tego, bo jej zdaniem marokańscy chłopacy gadają czasem coś ta o dżihadzie, ale to „dziecinada”. Jest za rozdziałem kościoła i państwa, co pozwala Burumie zakwalifikować ją jako „postępową” i religijną jednocześnie, co pokazuje dobitnie, że Buruma jest zwolennikiem podgniętych kompromisów z islamem (s. 138). Nora liczy na adwokaturę, ale martwi ją to, że sędzia holenderski musi wyglądać „neutralnie”, a to ją „mentalnie likwiduje” jako muzułmankę. Dalej Buruma pisze o Hirsi Ali; o jej wejściu na prawicowe salony, gdzie przywitano jak drogocenny egzotyczny okaz (s. 142). Pisze też o jej młodości w Somalii, gdzie żyła jak w klasztorze, a także w Kenii, gdzie jej ojciec mieszkał jako wygnaniec polityczny i gdzie mogła się (potajemnie) spotykać w kinie ze swym chłopakiem. W kinie oglądali nieskrępowanych zakazami swych amerykańskich rówieśników („Cichy wielbiciel”), dlatego dla niej do dziś język angielski jest językiem nauki i rozumu. Jej ojciec – demokrata, a choć konserwatywny społecznie, do dziś jest uwielbiany przez Hirsi Ali. Choć paradoksalnie to jego ucieczka w 1980 roku do Etopii przed prześladowaniami politycznymi, zapobiegła wydaniu jej jako młodej gąski za jakiegoś starego muzułmanina (s. 153), gdy ojciec postanowił wydać ją za męża, za krewnego mieszkającego w Kanadzie, wiedziała o Zachodzie niewiele, ale wystarczająco by próbować ucieczki (w Niemczech, gdzie samolot miał międzylądowanie). Zachodni i muzułmańscy wrogowie (ma ich na tyle, że jeździ po Hadze limuzyną o pancernych szybach) Hirsi Ali uważają, że krytykuje ona cały świat islamski, zamiast obyczajów lokalnych, które tak dały jej w kość w Somalii, ona jednak obwinia islam, który nakazuje traktować mężczyzn jako nieodpowiedzialne bestie, które w każdej chwili mogą spuścić się z łańcuch, jeśli kobieta zachowa się „nieskromnie”. (s. 147). Jednym z pierwszych wrażeń jaki wywarł na niej Zachód,

był „staranny, zaplanowany, uporządkowany” krajobraz niemiecki (Bonn), i podobny w holenderskim Volendam, gdzie zdziwiło ją to, że mimo europejskiej wolności, Holendrzy upodabniają swe domy do siebie nawzajem. Za radą znajomej Somalijki, udawała uchodźcę wojennego, by dostać azyl (s. 155). Inny antyislamski imigrant, z jakim rozmawia Buruma, to felietonista i profesor prawa rodem z Iranu, Afshin Ellian, przeciwnik reżymu szacha, a potem członek lewicowej partii Tudeh, rozpedzonej przez ajatollahów (s. 155). Potem mieszkał w Kabulu, w opanowanym przez wojska ZSRR Afganistanie, no i w Holandii. Oto jak opisuje on swe pierwsze wrażenie: „...miękką spokojną zieleń Holandii. Tyle spokoju. Popłakałem się. Gdy zobaczyłem ludzi w kawiarniach i na ulicach, którzy rozmawiali spokojnie, wybuchając gromkim śmiechem, zapłakałem nad losem moich dawnych przyjaciół. Tutaj bowiem wreszcie panowała wolność. Walczyliśmy o nią, ale tak naprawdę nigdy jej nie widzieliśmy...” Nie oznacza to jednak, że cały Zachód Ellian traktuje tak samo; nie lubi USA, którym pamięta wspieranie szacha. Niemniej jednak Holandię pokochał od zaraz, w ciągu roku nauczył się mówić znakomicie po niderlandzku. Najbardziej fascynowało go to, że Europejczycy „potrafią żyć nie podrywając sobie wzajem gardeł”, co nakierowało jego uwagę na liberalizm i ideę rządów prawa (s. 157). Buruma cytuje wypowiedzi Hirsi Ali i Elliana, ale zarzuca im odwrócony fanatyzm, choć sam wcześniej pisał, że „fanatyzm oświeceniowy” to oksymoron. Po raz kolejny widzimy tu jak autor unika twardego opowiedzenia się po stronie wartości liberalnych (choć podobnie jak Hirsi Ali i Ellian uważa je niby za uniwersalne, a nie „zachodnie” a więc nie nadające się dla ludzi z innych kultur jak mówią zamaskowani jako multikulturaliści, nihiliści i sentymentalni konserwatyści). Widać chęć utrzymania się w maistreamie, który balansuje dziś między liberalizmem a postmodernistycznym Multi-kulti, jest dla autora najważniejsza. Ayaan i jej młodsza siostra Haweya, mieszkały w Holandii w „mieście talerzy”, i uczyły się mówić po niderlandzku, ostatecznie jednak Haweya, która w Kenii nosiła szorty i buntowała się,

zmieniła się w fanatyczkę, podczas gdy nadal relatywnie potulna muzułmanka Ayaan porzuciła zupełnie islam, ucząc się sposobu życia w Holandii od pewnego małżeństwa (uwielbiała ich, choć znów, tak samo jak w przypadku stylu architektury domów w Volendam, zdziwiła ją relatywna potulność i uwielbienie konwenansów w wolnym kraju). Ayaan ciężko przeżyła śmierć Hawei w 1998, która popadła w obłęd religijny, zaniedbała potrzeby swego organizmu i zmarła (s. 163). Haweya była typową ofiarą muzułmańskiej schizofrenii, o której opowiadał Bellari Said. Ayaan studiowała politologię w Lejdzie i miała chłopaka Holendra imieniem Marco. Marco był ateistą, a Ayaan nadal trzymała się islamu. Gdy dał jej „Manifest ateistyczny” Hermana Philipse, odmówiła lektury uznając, że taka książka musi być dziełem diabła, rozstali się jednak nie z powodów różnic religijnych, lecz charakterologicznych; był dla niej zbyt uporządkowany. Potem jednak mieszkała 4 lata z gorliwą chrześcijanką w Ede, i pod wpływem rozmów z nią, poprosiła Marco o książkę Philipse’go, wtedy dopiero porzuciła wiarę (s. 165). Philipse (kolega Burumy z przedszkola!), miał z potem z nią romans. Buruma trochę sobie podkpiwa z Philipse’go, jako staroświeckiego gentlemiana czującego się personifikacją zachodniej cywilizacji. Hisri Ali podziela fascynację Philipse’go oświeceniem, a zwłaszcza jego zbawczą moc „odzierania człowieka z kultury”, często bardzo opresyjnej jak plemienna kultura Somalii. Dlatego porzuciła socjaldemokratów, gdy ci zaczęli popadać w relatywizm kulturowy, i jej zdaniem sabotować integrację emigrantów ze społeczeństwem zachodnim, w imię źle pojętej obrony ich kulturowej odrębności (s. 168) i przystąpiła do wolnorynkowej partii VVD, jednak Hirsi Ali była dla „regentów: tej partii nieco zbyt radykalna, z jej marzeniem by zostać „Voltaire’em islamu”. Buruma ma pretensję do Hirsi Ali, że traktuje islam jak monolit kolektywistyczny, który toczy śmiertelną walkę z liberalnym zachodnim indywidualizmem, podczas gdy nawet wśród muzułmanów w Holandii, Turcy są lepiej traktowani niż Marokańczycy, bo mają wspanialszą historię, uważają prawa kobiet i demokrację za coś oczywistego itd. (s. 174), oraz, że

mieni się być Voltaire'm islamu, jednak w odróżnieniu od Voltaire'a atakuje nie potężnych lecz słabą mniejszość. W wywiadach próbuje wykazać, że muzułmanie o liberalniejszych poglądach nie odebrali tego filmu dobrze, bo był zbyt moralizatorski, ostry i szokujący (tekst Koranu na nagim ciele kobiety). Gdy zabito Theo van Gogha, zaczęto znów mówić o oświeceniu, i o skostniałej samczej kulturze islamu, której przedstawiciele są niezdolni do jakiegokolwiek samokrytyki. Zabójca Theo, ponoć „rozczarował” Holendrów; nie był żadnym wojownikiem dżihadu, ale sfrustrowanym nieudacznikiem; który jak pisze Buruma, starał się wpasować w holenderskie społeczeństwo (nie oglądał np. TV marokańskiej, lecz belgijską, która ponoć mniej trzyma stronę Izraela niż holenderska (s. 194) – i pomyśleć, że Wilders żalił się, że Zachód, w tym i Holandia takie kubły pomyj wylewa na Izrael... Zabójca van Gogha stał się wojującym islamistą dopiero gdy nie udało mu się zostać ochroniarzem na amsterdamskim Luchthaven Schiphol, a to z powodu złej opinii u policji (s. 209). Zdaniem imama Alega Eddaudi winien jest islam, ale tylko taki, który doprowadzony jest do sztucznie „czystej” wyzutej z kulturowej treści formy (s. 208), a także to holenderscy pracownicy socjalni, którzy utrudniają rodzicom Marokańczykom wysyłanie swą niesforną młodzież do Maroka by tam nauczono ich moresu (Turcy nadal posyłają swoich do ojczyzny – s. 215). W Holandii wydaje im się, że wolno wszystko, podczas gdy w Maroku dostali by łanie za niesforne zachowania. A więc islam częściowo zostaje tu oczyszczony z zarzutu bycia ideologią nienawiści – a więc jak mówią angielscy marskiści – BLAME SOCIETY! Dalej nieco nieskładnie snuje Buruma rozważania o holenderskim moralizatorstwie (przy okazji m.in. pogrzebu Theo), i o Jodenhoek – dzielnicy żydowskiej w Amsterdamie, Annie Frank i o Geercie Mak, który starał się zaatakować antysemityzm i islamofobię wynajdując im wspólną płaszczyznę (zupełnie jakby dało się porównać rasizm z wstrętem wobec ideologii...), wywołując jak pisze Buruma „wściekłość przyjaciół Theo” – a czy nie jest ona uzasadniona, z powodu jaki podałem właśnie w nawiasie? Jak dowiadujemy się dalej, Hirsi Ali

skrytykowała listownie Joba Cohena, kolejnego wroga „przyjaciół Theo”, za jego pomysł, by muzułmanów integrować za pomocą religii (s. 234). Cohena porównywał van Gogh Theo do kolaborantów wysługujących się nazistom, gdy ten apelował o szacunek dla innych kultur, argumentując, że przecież akceptuje się w Holandii fakt, że np. nie ma miejsca dla kobiet w ultrakalwińskiej partii politycznej... Hirsi Ali porównuje z tego powodu Cohena do naiwnych polityków z USA, którzy dali mudżahedinom broń przeciw ZSRR, a potem sami musieli ich zwalczać... (s. 239). Na koniec Buruma rozmawia z dwoma muzułmanami; laickim zwolennikiem wznoszenia mostów między islamem a Zachodem, radnym Amsterdamu, socjaldemokratą Ahmedem Aboutalebem, synem wiejskiego marokańskiego imama, dla którego religia to sprawa prywatna, stąd jego walka z fanatykami z meczetu Tawhid (s. 245), i ortodoksyjnie muzułmańskim nauczycielem historii Abdelhakim Chouaatim, który krytykuje okrojony program nauczania historii w szkołach, jako mnóstwo jojczenia o biedzie Żydów (Buruma zgadza się z nim, że to okrojenie nabrało groteskowego wymiaru). Chouaati uważa 11 września za żydowski spisek, oraz sądzi, że skoro muzułmanie nie wymyślili komór gazowych, nie ma powodu, by wywozić Żydów do Palestyny. Jest także kreacjonistą i zwolennikiem szarijatu (ale tylko, jeśli opowiedziałyby się za nim większość ludności Holandii, co ciekawe uważa holenderskie prawodawstwo za w 90% zgodne z szarijatem !). Nieco rozczarowuje koniec książki Burumy, który chcąc budować mosty niczym Aboutaleb, zupełnie zatracą się w problemach jakie opisuje. Moralizuje (choć sam tak moralizatorstwa nie znosi !), iż rewolucyjny islam ma tyle wspólnego z Koranem, co gułagi z „Kapitałem” Marxa, co oznacza tylko, że zapomniał, że 1) Marxa bolszewicy poznawali za pośrednictwem znacznie późniejszego, ale bardziej zajadłego pisarza – Lenina i 2), że Koran inaczej niż Mein Kampf, czy Kapitał, a podobnie jak Biblia i Manifest Komunistyczny wyraźnie identyfikuje wroga (potomkowie Chama/burżuje), zaś idzie o wiele dalej od nich we wskazaniu jak należy wrogów zabijać. Chcąc zachować salomonowe oblicze Buruma krytykuje wzmoczoną walkę z imigrantami, wyrzucanymi od



niedawna bezpardonowo z Holandii nawet za jakieś drobne uchybienia urzędowe, i wyrzucenie Hirsi Ali, gdy dokopano się do jej lipnego uzasadnienia azylu. Autor „Śmierci w Amsterdamie...”, wyraźnie zapomniał, że liberalizm to nie tylko jakaś zachodnia utopijna ideologia, ale uniwersalny przepis na wolne społeczeństwo – na wolność jako rzecz (jako pierwszy wolność jako stan a nie ideę opisywał prawdziwy według Pierre’a Manenta, twórca liberalizmu czyli Montesquieu), który nie może podlegać negocjacjom, i próbuje, jak tak wielu pisarzy obecnie rozwodnić liberalne wartości w zgniłym multikulturanym kompromisie. Choć dobrze, że nie daje sobą powodować sentymentalnym populistom typu Fortyuna, trudniej już zrozumieć jego nieco prześmiewczą postawę wobec Theo. Wydaje się, że Buruma, Anglik z wyboru, uległ typowo brytyjskiemu przeświadczeniu, że każdemu najlepiej w jego kulturze (może dlatego, że oświecenie angielskie było mocno angielsko-protestanckie, a mało uniwersalistyczne, co ciekawie opisał John Gray), co doprowadziło do erozji wspólnych wartości „brytyjskich”, przed czym ostrzegała krytyczka multikulturalnej edukacji (Sikh uczy się o siokhizmie, Anglik o historii Anglii, a Pakistańczyk o islamie) i autorka „Londonistanu”, Melanie Philips, która uważa, że brak brytyjskiej wersji „American Creed” – wartości niezależnych od krwi rasy i pochodzenia, źle wróży przyszłej integracji. Niewystarczająco, moim zdaniem, docenia Buruma potrzebę, by religia była sprawą ściśle prywatną, uważając, podobnie jak Job Cohen, że przestrzegający prawa muzułmanin jest już dobrym obywatelem. Przypomina to mrzonki libertarian jak Hans Hermann Hoppe, który uważa np. dzielnice nazistowskie, za zupełnie normalny element społeczeństwa żyjącego pod państwem-minimum. Tak samo jak Hoppe, Buruma nie docenia roli państwa w łagodzeniu napięć społecznych i w promowaniu tolerancji. Mimo mojej niechęci do zbyt konserwatywno-libertariańskiego i miękkiego wobec postmodernistycznego Multi-kulti autora, uważam że książka Burumy to jednak fascynująca panorama liberalnej i islamskiej Holandii, którą polecam każdemu.